

Przemierzając cypel – wprowadzenie

Od czego wszystko się zaczyna? Od napięcia mięśni. Jedna noga niczym filar, na którym wspiera się wyprostowane ciało rozpięte między ziemią a niebem. Druga niczym wahadło kołyszące się od tyłu. Pięta dotyka podłoża. Cały ciężar ciała przetacza się do przodu, na kulę stopy. Paluch pomaga się odepchnąć, a ściśle wyważony ciężar ciała znów się przesuwają. Nogi zmieniają pozycję. Wszystko zaczyna się od pierwszego kroku, potem czyni się następny i następny, te zaś nakładają się na siebie niczym uderzenia bębna wybijające rytm – rytm stąpania. Jako coś najbardziej oczywistego, a zarazem najbardziej tajemniczego na świecie, kroczenie niepostrzeżenie przechodzi w religię, filozofię, krajobraz, urbanistykę, anatomię, alegorię i miłosny zawód.

Historia chodzenia pozostaje nienapisana, owiana tajemnicą, a jej ukryte strzępy odnaleźć można w tysiącach napomykających o nim jedynie przy okazji ustępów książek, w piosenkach, na ulicach i w niemal każdym naszym przeżyciu. Cieleśne dzieje chodzenia to opowieść o ewolucji dwunożności i ludzkiej anatomii. Zazwyczaj chodzenie jest czysto praktycznym, niemal niezauważalnym środkiem przemieszczania się pomiędzy miejscami. Obrócenie chodzenia w dochodzenie, w rytuał, w rodzaj medytacji daje jego szczególną odmianę, która pod względem psychologicznym, ale już nie filozoficznym, odpowiada czynności, jaką wykonuje listonosz roznoszący pocztę czy urzędnik wsiadający do pociągu. Co oznacza, że tematem chodzenia jest w pewnym sensie to, że i w jaki sposób powszechnie spotykanym działaniom nadajemy

szczególne znaczenia. Podobnie jak jedzeniu czy oddychaniu, chodzeniu bowiem można przypisywać radykalnie odmienne znaczenia kulturowe, od erotycznych po duchowe, od rewolucyjnych po artystyczne. W ten sposób jego historia zaczyna stanowić element całości dziejów wyobraźni i kultury, tego, jakich odmian przyjemności, jakich swobód i jakich znaczeń poszukiwano w różnych epokach, postępując na różne sposoby. Wyobraźnia zarówno kształtowała pokonywaną na dwóch nogach przestrzeń, jak i była przez nią kształtowana. Chodzenie wytyczyło ścieżki, drogi, szlaki handlowe, wytworzyło lokalne i łączące kontynenty rozmaite formy odczuwania przestrzeni, zbudowało miasta i parki, sporządziło mapy i przewodniki, skonstruowało różnorakie urządzenia, a ponadto zgromadziło ogromną bibliotekę wędrownych opowieści i wędrownej poezji, historii o pielgrzymkach, górskich wspinaczkach, włóczęgach i letnim piknikowaniu. Przemierzone w ten sposób krajo-brazy miast i wsi zrodziły opowieści, te zaś przywodzą nas z powrotem ku miejscom, w których rozgrywa się ta historia.

Dzieje chodzenia to historia stworzona po amatorsku, tak jak samo wędrowanie jest działaniem amatorskim. Sięgając do metafory wędrowania, można powiedzieć, że jego historia nieustannie wkracza na cudze obszary – anatomii, antropologii, architektury, ogrodnictwa, geografii, polityki i historii kultury, literatury, seksualności, religioznawstwa – nie zatrzymując się w żadnym z nich w swej dalekiej drodze. Jeśli bowiem obszar badawczy wyobrazić sobie jako rzeczywiste pole – jako ściśle wytyczony, prostokątny i zamknięty grunt, uprawiany po to, by wydał określony plon – zagadnienie chodzenia przypomina samo chodzenie, w którym nie zważa się na jakiegokolwiek ograniczenia. A chociaż historia chodzenia jako taka jest – jako część wszystkich tych obszarów i każdego osobistego doświadczenia – potencjalnie nieskończona, te opowieści, które tu spisuję, mogą być jedynie cząstkowe, jak osobliwe ścieżki wytyczone przez pojedynczą, konkretną wędrowniczkę, niejednokrotnie cofającą się po własnych śladach i nieustannie rozglądającą wokół. Na kolejnych stronach staram się przemierzać ścieżki, które przywiodły większość osób w moim kraju, w Stanach Zjednoczonych, do obecnego momentu, prześledzić historię czerpiącą w znacznej mierze z europejskich źródeł, przekształconą jednak i na różne sposoby przenicowaną

przez skrajnie odmienną skalę amerykańskiej przestrzeni, wieki przystosowań i mutacji oraz przez inne tradycje, które zbiegły się ostatnio z owymi ścieżkami, zwłaszcza tradycje azjatyckie. Historia chodzenia to historia każdej i każdego z nas, a jakakolwiek jej pisana wersja może jedynie wskazać niektóre z mocniej wydeptanych ścieżek pozostających w zasięgu autorki czy autora – innymi słowy, ścieżki wytyczone przeze mnie nie są jedynymi.

Pewnego wiosennego dnia zasiadłam do pisania tekstu o chodzeniu, by natychmiast z powrotem wstać, biurko bowiem nie jest najlepszym miejscem do myślenia w większej skali. Z cypla na północ od mostu Golden Gate, usianego opuszczonymi umocnieniami obronnymi, postanowiłam wspiąć się po zboczach doliny i przejść wzdłuż grani, by następnie zejść ku wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Wiosna nadeszła wówczas po wyjątkowo mokrej zimie, zaś wzgórza pokryły się ową rozpasaną, wybujałą zielenią, o której zawsze zapominam, by przypomnieć sobie o niej kolejnego roku. Spod nowo wyrosłej trawy przebijała zeszłoroczna darnń, już nie złotawa, lecz wyblakła od deszczu i zszarzała do odcienia popiołu, część bogatej palety subtelnych, zmieniających się przez cały rok barw. Henry David Thoreau, przemierzający z o wiele większym wigorem ode mnie okolice po drugiej stronie kontynentu, tak je opisywał: „Całkiem nowa perspektywa spaceru to wielkie szczęście i doświadczam go każdego popołudnia. Dwu- lub trzygodzinny spacer przenosi mnie do nieznanego kraju, jaki mogłem sobie tylko wymarzyć. Jakieś gospodarstwo, którego nigdy wcześniej nie widziałem, jest czasami cudośniejsze od pałacu króla Dahomeju. Istnieje nawet pewna harmonia między możliwościami krajobrazu w promieniu dziesięciu mil, ograniczeniami popołudniowego spaceru a długością ludzkiego życia. Nigdy nie jest nam dane się nudzić”¹.

Te przecinające się ścieżki i drogi tworzą dziesięciokilometrową trasę, którą dekadę temu zaczęłam wędrować, by wychodzić z siebie niepokój, dręczący mnie w trakcie jednego z trudniejszych lat mojego życia. Powracam na ten szlak, by odpocząć od pracy i zarazem nabrać do niej sił,

1. Henry David Thoreau, *Sztuka chodzenia*, przeł. Piotr Madej, Trojka, Poznań 2000, s. 7.

gdyż w nastawionej na wytwarzanie kulturze oddawanie się myśleniu na ogół uznaje się za nieproduktywne, a nierobienie niczego produktywnego zwykle przychodzi z trudem. Najlepiej zatem przybrać myślenie w przynajmniej pozór jakiegoś działania, działaniem zaś najbliższym bezczynności jest właśnie chodzenie. Samo w sobie jest tą intencjonalną czynnością, której najbliższej do mimowolnych rytmów ciała, oddychania i bicia serca. Pozwala znaleźć chwiejną równowagę między pracą a próżnowaniem, byciem a działaniem. Jest pracą ciała niewytwarzającą niczego prócz myśli, przeżyć, ośnień. Po tych wszystkich latach wędrowania po to, by przepracować coś innego, sensu nabrał powrót do pracy blisko domu, tak jak rozumiał ją Thoreau, i przemyślenie samego wędrowania.

Chodzenie, w wersji idealnej, jest stanem, w którym umysł, ciało i świat spotykają się z sobą, jak gdyby były trzema prowadzącymi rozmowę postaciami, trzema dźwiękami niespodziewanie łączącymi się w akord. Wędrowanie pozwala nam na osadzenie się we własnym ciele i w świecie bez konieczności zajmowania się nimi. Daje swobodę myślenia bez niebezpieczeństwa całkowitego pogrążenia się i zatracenia we własnych myślach. Nie byłam wówczas pewna, czy spóźniłam się, czy też przybyłam za wcześnie na kwitnienie fioletowego łubinu, tak widowiskowe na naszym cyplu, kalifornijska rzeżucha obrastała już zacienioną stronę drogi wiodącej do mojego szlaku, budząc we mnie wspomnienie z czasów dzieciństwa: górskich zboczy, które co roku jako pierwsze pokrywały się całym tym fantastycznym bogactwem białych kwiatków. Wokół mnie trzepotały czarne motyle, pchane wiatrem i ruchem skrzydeł, przywołując inną epokę z mojej przeszłości. Wydaje się, że piesza wędrowka ułatwia również poruszanie się w czasie, umysł bowiem wędruje swobodnie między planami, wspomnieniami i obserwacjami.

Rytm kroków wybija swoisty rytm myśleniu, a przechadzanie się wśród zmieniających się krajobrazów przypomina i pobudza przechodzenie szeregu myśli. To zaś tworzy osobliwe współbrzmienie między przechodzeniem wewnętrznym a zewnętrznym, sugerując, że umysł także jest swego rodzaju krajobrazem, wędrowanie zaś – sposobem poruszania się w jego obrębie. Pojawiająca się nowa myśl wydaje się częstokroć czymś na kształt cechy pejzażu tkwiącej w nim od samego początku, jak gdyby myślenie było raczej odmianą podróży niż podróżowaniem

wytwarzaniem czegokolwiek. Jednym z aspektów historii chodzenia jest historia myślenia ukonkretnionego, gdyż ruchu myśli, w odróżnieniu od ruchu stóp, nie da się prześledzić. Wędrowanie można sobie również wyobrazić jako czynność wzrokową, a każdą przechadzkę jako podróż na tyle swobodną, by pozwalała zarazem oglądać widoki i je przemyśleć, przyswoić sobie to, co nowe, i uczynić je czymś znanym. Prawdopodobnie w tym właśnie tkwi szczególna użyteczność chodzenia dla myślicieli. Zaskoczenia, oswobodzenia i wyjaśnienia, jakich dostarcza podróż, zgromadzić można, nie tylko przemierzając świat, lecz czasem również przechadzając się wokół własnego domu, sięgając własnym krokiem zarówno najbliższych, jak i najdalszych okolic. Być może chodzenie należałoby nazwać ruchem, nie podróżą, można bowiem chadzać w kółko i można podróżować dookoła świata, siedząc nieruchomo w fotelu, tymczasem pewien rodzaj namiętności do wędrowki spełnić się może wyłącznie dzięki czynności ciała, które samo jest w ruchu, nie zaś dzięki poruszaniu się samochodu, statku czy samolotu. To ruch i przesuwane się wraz z nim widoki zdają się wywoływać zdarzenia w umyśle, a to właśnie czyni wędrowanie tak zagadkową i niewyczerpanie płodną aktywnością – jest ono zarazem środkiem i celem, podróżą i punktem dojścia.